

**EMMA POPIK**  
**WYWIAD Z BOGIEM**  
**ze zbioru**  
**Wywiad z bogiem**

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja Joanna Śłużyńska

Korekta Natalia Szczepkowska

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Emma Popik 2013

Okładka Copyright © Mateo 2013

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

Utwór bezpłatny,  
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,  
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

Aby powstało to opowiadanie, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: [marketing@rw2010.pl](mailto:marketing@rw2010.pl)

Zapraszamy do naszego serwisu: [www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

– Czy wiesz, że nazywają cię na mieście bogiem?

– Nieee!

Głos dobiegał z wysoka, z platformy podwieszanej pod sufitem laboratorium, ale w tym jednym słowie zaprzeczenia wibrowało przerażenie.

„Wie, czego się bać – pomyślał wpływowy dziennikarz *Galaxy Shimbun*, który zadał to dziwne pytanie. – Nie jest głupi”.

– Tę boską pozycję zdobyłeś w opinii ludu na rynku – dodał. – Czyż to cię nie kompromituje?

W tonie jego głosu brzmiała złośliwość; był poirytowany. Miał powód: stał na podłodze, a ten tak zwany bóg mówił do niego z góry i w dodatku raczył wrzasnąć tylko jedno słowo. A przecież to on, Hendrigo Psiuk, zajmował w świecie wysoką pozycję. I to on, a nie tamten, miał moc windowania ludzi na szczyt sławy. Z równą łatwością mógł każdego strącić na dno. To są boskie moce, no nie? Jasne więc, że to nie on powinien zadzierać głowę i pokornie czekać na odpowiedź.

Z góry jednak nie dotarła odpowiedź na jego kąśliwą uwagę, mimo to Hendrigo pofatygował się, by zadać kolejne pytanie:

– Co tam robisz?

I znowu ani słowa.

Tym razem jednak dziennikarz nie poprosił o odpowiedź. Na taką uprzejmość nie pozwalało mu jego wysokie mniemanie o sobie. Zresztą dosyć już poczynił kroków w celu nawiązania dialogu. Tamten jednak je zlekceważył. Milczenie się przedłużało, pogłębiając blamaż popularnego żurnalisty.

„Traktuje innych z góry chyba dlatego, że siedzi pod sufitem” – uznał. Rozejrzał się czujnie, szukając sposobu wydobycia informacji. Za wszelką cenę musiał przeprowadzić ten wywiad. Wpadł na sprytny pomysł: dowie się tego i owego, i jeśli tamten z platformy niczego nie powie, napisze fikcyjny wywiad. Nie będzie bynajmniej wyssany z palca. Rozglądał się nadal, nie wiedząc, o co zaczepić oko i pierwszy akapit. Przecież był na tyle bystry, żeby wykopać jakieś tłuste świństewko i fanfarami zatrzeć tytuł, taki na przykład: „Bóg oszukuje w kartach”.

Biurko! Może jego szklany pulpit nie jest chroniony hasłem.

Podszedł, stąpając na palcach, by po cichu przejrzeć sobie notatki tego, hm, boga. Czekając, aż się uruchomią aplikacje, usiadł wygodnie i skupiając się jednocześnie nad strukturą wywiadu, który wkrótce sam wpadnie mu do głowy, przelatywał myślą wydarzenia od pierwszej pogłoski na temat tego tam, boga.

Po raz pierwszy ten przydomek obił mu się o uszy na rynku, gdzie zbierał informacje. Gadali o jakimś bogu, ale szeptem. Niektórym wzrok latał na boki. Zlekceważył na początku tę wiadomość. To stereotyp. „Prosty lud myśli kategoriami białe-czarne i w byle dziwaku widzi od razu boga albo diabła” – podsumował wtedy w duchu. Puścił więc mimo uszu to gadanie, nie dostrzegając tematu godnego jego zainteresowania. Nie przekonał Hendriga nawet jego najbardziej rzetelny informator, który również mówił ledwo słyszalnie, kiedy się spotkali wieczorem. Od oceanu wiał wiatr i porywał słowa, gdy dziennikarz gapił się na jego powierzchnię. Jakże gigantyczny miał rozmiar, sięgając od krańca do krańca ich świata. Nie wiedzieć czemu przypomniał sobie, że ten zielony potwór był podobno niegdyś wielkości kałuży. Zastanawiał się, czy zatrzyma się kiedykolwiek w swoich brzegach. Nie posiadał przecież żadnych ograniczeń. Czy w końcu ruszy na ich cywilizację, pochłaniając wszystko i wszystkich?

Wzdrygnął się, jakby już czuł na sobie jego wilgotne przyłgi. Jednym tylko uchem słuchał rewelacji informatora.

– To kreator – powiedział tamten z nabożnym podziwem.

Słyszając to, dziennikarz potarł ręką ucho, jakby chciał wymazać tę przesadną ocenę.

– A co stwarza?

– Mówią, że nadchodzi koniec świata – podekscytowany informator zmienił temat.

Nie wyjaśnił więc, co tamten kreuje. Dla Hendriga było jasne, że odpowiedzi nie zna, bo ona zwyczajnie nie istnieje.

– I pewnie wszyscy zginiemy. – Wykrzywił ironicznie usta.

– To już pan wie? – rzekł zawiedziony.

Hendrigo wzruszył ramionami.

– Wszyscy wiedzą.

Od dawna znał stare mity o końcu świata, ale nigdy nie potrafił w nie uwierzyć.

– A skąd przyjdzie zagłada? – zapytał znudzony.

Jego wzrok zmierzył się z groźnym oceanem, od razu jednak odwrócił oczy. Tylko prosty lud bał się jego zachłanności i pewnie dlatego wymyślił bajdy o końcu świata i o bogu.

– Będą znaki – szepnął tamten.

– No tak, oczywiście. – Dziennikarz pokiwał głową. – A jakie?

Informator obrócił się w stronę ciemnego nieba, które wisiało za oceanem. Wyciągnął ramię, rozczapierzył palce, jakby chciał zatrzymać niewidzialne niebezpieczeństwo.

– I wtedy niebo pęknie na dwie połowy.

Ta brednia przeważyła szalę głupoty, którą dziennikarz był w stanie wytrzymać. Rzucił mu pod nogi monetę i nie oglądając się, odszedł spieszenie.

– Pewnie, że nie na trzy połowy – burczał ze złością.

Zagłada, trzask łamiącego się nieba, znaki, typowe motywy, ani jednego faktu, te rewelacje również nie popchnęły go do zajęcia się tematem. Był zbyt wielkim dziennikarzem, by pisać o fantazjach ludu. I nie opierał swych artykułów na plotkach.

Musiał więc węszyć dalej. Zrozumiał, że trzeba będzie zrobić to, przed czym się wzdragał: zanurzyć się w żywioł prostactwa, a więc w masę zwykłych ludzi. Zdobycie informacji wymagało wejścia głęboko w pewne niesamowite miejsce. Jak je opisać? Mówiono na nie: targowisko, agora, piekło. Było olbrzymie, było wszędzie, było wszystkim. Zostało podzielone na kwadraty, a pomiędzy nimi biegły szerokie, wyłożone kolorowymi płytami alejki. Każdy sektor z kolei przecinały ścieżki. To po nich wszyscy krążyli, gdyż tu właśnie były ich raj i szaleństwo. Po obu stronach uliczek stały stragany, restauracje, sklepiki i hotele na godziny, kluby dla każdego rodzaju dewiantów, piwnice, gdzie mogli zaspokoić każdą zachciankę. Miejsce to tętniło życiem gorączkowo i nieprzytomnie, nie odpoczywając nigdy, wciąż chore z przejedzenia i zawsze chętne do dzikich zabaw. Z otwartych okien dobiegały muzyka,

krzyki i śpiewy. Piosenki były krótkie i wrzaskliwe, a rytm wybijały odstawiane na stół kieliszki i kufle. Z wystaw sklepowych, sięgających aż na chodniki, zsuwały się owoce, wabiąc palce przechodzących, a podgrzewacze do gotowych potraw ustawiono na każdym rogu. Było tu wszystko dla każdego, a ceny nie stały na przeszkodzie.

Musiał się więc zanurzyć w ten kolorowy i wrzaskliwy świat. Nogi już same go niosły do tego urzekającego i straszego miejsca, lecz nagle coś go powstrzymało. Przypomnił sobie pewien szczegół. Zawrócił, wciąż o nim myśląc, i wszedł w najstarszą część agory. Chciał się przekonać na własne oczy.

Domy były tu wąskie i niższe, w stanie ruiny, z wielu wypadły cegły, stragany utraciły kolory. Klientela jednakże godziła się na wszystko, nie mając już wyboru. I właśnie tu nagle się zatrzymał, stając na samej krawędzi. Poza nią nie było już ulicy. Z przerażenia nawet nie pomyślał, by postąpić krok do tyłu.

Zielona, gęsta masa otaczała fundamenty. Nie cofała się już, ziemia należała do niej. Czekala, kiedy będzie mogła znowu posunąć się do przodu, gdy strawi pale fundamentów i następna ściana runie do wody. Z wysiłkiem oderwał wzrok od przerażającego widoku, cofnął się i przez wewnętrzną bramę przeszedł na drugą stronę budynku. Tu na uliczce gęste kałuże stały, czekając tylko, aż dopełźnie do nich fala oceanu i się z nim połączą, pochłaniając jednocześnie kęs ziemi.

Hendrigo musiał je ominąć. Bał się, by nie stąpnąć butem na zieloną, gęstą masę. Choć nie wiedział, czy się przyklei do buta i przeżre zelówkę, by spalić mu skórę, na wszelki wypadek wybierał wzrokiem suche miejsca i stawiał tam uważnie kolejne kroki. Bał się, chociaż ukrywał przed sobą swój strach.

Następna uliczka należała już do zielonej cieczy, resztki ścian wisiały skosem, gotowe w każdej chwili runąć. Wycofał się spiesźnie, lękając się, czy płyn nie dotyka już jego pięt; szedł coraz szybciej, z obawą, że każdy krok może być ostatnim.

Dotarł do końcowej alejki, także na wpół zanurzonej w wodzie. Widział, że tylnych ścian już nie było, lecz fasada jeszcze tętniła życiem, pełna rozbawionych klientów. Obejmowali kobiety w pasie, wychodzili w uścisku gdzieś do wewnętrznych pokoi, a reszta towarzystwa śpiewała głośno pijackie piosenki.

Kiedy unosili do ust kufle, spojrzął na ich ręce. A kiedy zobaczył, jak wyglądają, wstrząsnęło nim przerażenie. Patrzył wciąż, nie mogąc oderwać wzroku. Każdy z szalejących w dzikiej zabawie miał na przegubie czarny pasek, a to oznaczało, że energia ich życia już się wyczerpała. Szerokość pasków była różna, najcieńsze przypominały pajęczę nitki. Ich właściciele śmiali się jednak najgłośniej, wiedząc, że każda salwa wesołości może być ostatnią. Za chwilę mogą się przewrócić, upaść plecami w zieloną kałużę, a ciecz rozłoży ich ciała, powiększając swoją objętość. Czarny pasek na przegubie był strasznym znakiem i wszyscy rozumieli jego znaczenie, wiedzieli, że są skazani, a mimo to bawili się do końca.

Nagle w prześwicie między budynkami zobaczył dużą kałużę; był w niej zanurzony jakiś podłużny kształt. O kilka kroków dalej w wodzie przykrywającej alejkę leżało wiele zwłok. Padli, gdyż już utracili energię i nie mogli jej znikąd zaczerpnąć. Może ich towarzysze, którzy nadal pili i szaleli, wyskali jej resztki niby wampiry. Przerażony okropnym widokiem, obserwował, jak ciała zamieniały się w białe sole, a te rozpuszczały się w wodzie, która gęstniała. To dlatego ocean tak rósł! Powiększał się, wchłaniając ciała tych, którzy nie mieli już w sobie energii. Woda ich wessała, rozpuściła, sama gęstniejąc i stając się coraz bardziej zachłanna.

– Giniemy – rzekł głośno. – Zużyliśmy już wszystko.

Dopiero wyjątkowo głośna grupa wesołych klientów spowodowała, że otrząsnął się i szybko odszedł z tego miejsca. Machali do siebie rękami, przyzywając się, by razem pić – a u każdego na przegubie widniał czarny pasek.

Nie rezygnował jednak z celu swojej wyprawy do tego okropnego miejsca. Długo krążył wśród straganów, pełnych wszelakiego jadła; ucztowanie było jedną z większych przyjemności. Zagłębił się nawet w alejkę regionalnych restauracji, gdzie zachęcano do kosztowania potraw prosto z kociołków. Tu wypatrzył go pewien dziwak, który zapewne polował na takie okazje. Wyszedł niespodziewanie z bocznej alejki. Twarz zakrywał rondem kapelusza, naciśniętego na chustkę zawiązaną na głowie. Wydawało mu się, że jego przebranie jest doskonałym kamuflażem. Kiedy tylko napotkał klienta, zatarł dłonie z radością.

– Chodź pan. – Długa ręka dosięgła ramienia Hendrigo. – Nie bój się pan. Tu sami dobrzy ludzie.

Mówił chyba o swoich znajomych ze straganu, którzy pokazali mu palcem węszącego dziennikarza i nawet powiedzieli, o co się wypytuje.

Hendrigo lekkim ruchem strącił jego rękę, która szybko dołączyła do drugiej, i tamten znowu zaczął pocierać dłonie z radością i zapalem.

– I każdy chce zarobić – gadał człeczyna.

Pewnie wyobrażał już sobie przyjemność, której za chwilę będzie mógł doświadczyć. Dziennikarz dał się poprowadzić do samego końca alejki. Po obu jej stronach stały drewniane parterowe budki, z których każda była ozdobiona olbrzymią tablicą z nazwami potraw i napojów, oraz z cenami oczywiście. Ceny spadały, w miarę jak mijał kolejne restauracyjki.

Bar, do którego zmierzali, znajdował się na samym końcu alejki, ukryty za większą budą i ogarnięty mrokiem. Kiedy stanął przed speluną, zobaczył zamiast drzwi zawieszoną tkaninę. Ponad nią nie dostrzegł przybitej deski z nazwami potraw. Wahał się, czy odsunąć ręką tę szmatę i wejść do środka. Odwrócił się do swojego przewodnika, wykrzywiając usta.

Ale oczy tamtego lśniły radością.

– Nie bój się pan – powtórzył swoją frazę. – Każdy chce się tylko napić.

Uniósł ręką zasłonę i wszedł pierwszy w mroczną przestrzeń baru. Ruszył na skos przez brudną podłogę, kierując się do ostatniego stolika przy ścianie. Siedział tam stały bywalec odwrócony do nich plecami. Przewodnik podszedł do niego i pochyliwszy się, mówił coś gwałtownie i natrętnie. Hendrigo stał wciąż w progu, nie tylko ze strachu. Nogi wrosły mu w ziemię, wiedział bowiem, czym tu raczyli się klienci. Energią; płynną, czystą, wrzącą energią.

Energia stanowiła najważniejszy czynnik życia: jej brak je kończył. Każdy chciał ją zdobyć i powiększyć swoje wewnętrzne zasoby, dlatego łapano każdą szansę. Ostatnim hitem stała się płynna energia. Klienci zamawiali napoje zawierające energię. Wierzyli, że pobrana w ten sposób zregeneruje ich, chociaż była sztuczna. Wchłaniali codziennie coraz większe ilości, by ją magazynować. Będę żyć, myśleli

po każdym kolejnym łyku. Z tego powodu popularność tych napojów rosła błyskawicznie. Wszyscy o nich wiedzieli i mówili. Do Hendrigo również dotarły wieści o nowej modzie, był jednak zbyt wielki, by się interesować szkodliwymi nałogami pospólstwa.

Potoczył wzrokiem po siedzących w mrocznej salce. Nikt się nie poruszył, każdy siedział pochylony nad swoim napojem.

„To żywe trupy” – pomyślał Hendrigo. Obawiał się, że ktoś zaraz przewróci się na podłogę i umrze. Wyniosą go i rzucają do oceanu, by się zamienił w białe sole.

Ile im jeszcze zostało? Energia ulegała wyczerpaniu, kończyły się jej zasoby. Kiedy, mówiąc obrazowo, w kosmicznym rezerwuarze pokaże się dno – ich świat zniknie. Lud prosty to wiedział, on – nie. Czy raczej wolał nie wiedzieć. Więc gdy to sobie uświadomił, przeraził się. Dlatego stał w progu, nie mając siły się poruszyć. Mężczyzna w kapeluszu przyzywał go, machając ręką, więc zmusił się, by podejść do stolika.

– Powiedz panu wszystko, jak mi obiecałeś.

Obrócił się na pięcie i usiadł przy barze, łapiąc w locie rzuconą monetę, która zaraz została wymieniona na puszkę z czerwonym napisem, postawioną na kontuarze przez kelnera opasanego ścierką.

Hendrigo usiadł, lecz kelner nie przyniósł mu napoju – znał się na ludziach. Na stole stał już rząd pustych puszek, a informator właśnie wychylał ostatnią, sącąc pozostałe krople.

– Mów, co wiesz.

– Nazywają go bogiem, ale on jest kimś innym – zaczął ponuro młody człowiek.

– Wyobraź sobie, że i ja się tego domyśliłem – przerwał mu gniewnie Hendrigo.

– Mów do rzeczy, jeśli chcesz zarobić na następną puszkę.

Siedzący wbijał wzrok w puszki, nie podnosił głowy i mówił mechanicznie, jakby z przymusem.

– Ma nową teorię. Uważa, że istnieje coś takiego jak materia biologiczna.

– A gdzie ona jest?

– Jest powszechna.



– Co za brednie! Przecież nauka udowodniła, że wszystko wypełnia energia, gdyż tylko ona może się odnawiać.

– To jego teoria, mówiłem – zastrzegł informator. – Ta materia istnieje potencjalnie.

– No i cóż może ta materia biologiczna?

– Ma nadzwyczajne właściwości. Po pierwsze, jest plastyczna. Po drugie, może się powielać.

– W jakie formy?! – krzyknął dziennikarz oburzony tą herezją.

– Jest oczywiście potrzebna matryca.

– I tu mamy problem – zauważył dziennikarz. – Jak ulepić z tej gliny pożądany kształt?

– Właśnie nad tym pracuje – powiedział młodzieniec.

– Czy wiesz, w jakim stadium są jego prace?

– Oto właśnie cenne pytanie – zauważył filozoficznie, pstrykając palcami w puszkę.

Hendrigo położył przed nim banknot. Ten widok natychmiast wywołał kelnera, który przetarłszy powierzchnię stolika ścierką wyjętą zza paska, postawił na blacie dużą puszkę ze złotym napisem. Niczego nie podał dziennikarzowi, bo przecież znał się na ludziach.

Młodzieniec nacisnął wieczko i uniósł puszkę do ust. Pił długimi łykami, a na jego twarzy pojawiał się coraz większy zachwyt. Kiedy odstawił puszkę na stół, otarł usta ręką. I ponownie wbił wzrok w rząd puszek, który wciąż był za krótki, by przedłużyć mu życie.

– Jaki jest więc stan zaawansowania prac nad matrycą? – dziennikarz powtórzył pytanie.

– Tylko bóg to wie – odparł. – Zapytaj go.

Zamknął oczy, a jego oddech stał się równy i głęboki.

– Zapytam.

Wtedy właśnie zdecydował, że musi porozmawiać z tym bogiem, heretykiem nauki.

Wyszedł z baru, żegnany energicznymi gestami ręki człowieka w kapeluszu.

Po rozmowie utwierdził się w przekonaniu, że chłopak otarł się o wiedzę uniwersytecką. Nasłuchiwał się pewnie o alternatywnych kierunkach w nauce, które na spółkę z kumplem w kapeluszu sprzedawał chętnym.

„To jest nowy trend. I staje się popularny” – odpowiedział mu jego słynny dziennikarski nos (ta niezgrabna fraza – o mówiącym organie powonienia – dostatecznie często powtarzana, uczyniła go sławnym).

Osobiście jednak nie był w stanie zaakceptować tej nowości. Istnienie materii biologicznej, z której można coś produkować, przeczyło wszelkim twardym dowodom zebranych przez ich naukę.

„Mimo wszystko to jakaś brednia”. Dziennikarz wzruszał ramionami. Nie mógł się pogodzić z tym terminem, choć najwyraźniej nie wymyślił go ciemny motłoch z rynku. Ale nie istniało nic takiego jak biologia, to tylko nowe, modne słówko. Ta naukowa herezja obejmowała jednak już cały ich świat widzialny. „Czy powszechność jest miarą prawdy?” – zadał sobie pytanie, którego się nauczył na wykładach z logiki. Odpowiedź negatywna przyniosła mu uspokojenie. Usunął te głupstwa o bogu i biologii ze swego umysłu. Ale tylko na chwilę, jak się okazało.

Kiedy bowiem przeglądał dziś serwis prasowy, jego wzrok przyciągnął krzyczący czerwienią tytuł: „Zagłada jest bliska!”.

A więc koniec świata został ogłoszony, w dodatku dokonał tego konkurent, i to najbardziej niebezpieczny. Hendrigo Psiuk zawzięcie kontynuował czytanie artykułu.

„Wyczerpują się nasze zasoby energetyczne – mówi profesor z Instytutu Wiedzy. – Nie znamy jeszcze przyczyny tego przerażającego zjawiska, być może w odległej galaktyce otworzyła się biała dziura i wsysa wszystko”. W pierwszym akapicie przytoczono słowa naukowca, co rozwiało wątpliwości. Toteż mógł sobie darować lekturę całego tekstu. Zresztą nie było chwili do stracenia.

„Pewnie już zebrali plotki o bogu i zagładzie i zamieszczą je w następnym serwisie” – pomyślał.

Musi ich wyprzedzić, bo to on jest najlepszy. Zerwał się od czytnika i natychmiast poszedł do laboratorium.

**I** oto wciąż czeka na odpowiedź z góry, od tego, który był biologiem, a więc rzekomo bogiem nowej dziedziny wiedzy. Hendrigo Psiuk jako wybitny dziennikarz miał umysł otwarty na nowości, ale również na miłą wyczuwał głupotę swoim słynnym nosem. Nie wierzył w istnienie materii biologicznej.

Nagle wydarzyło się to, czego już od pewnego czasu się obawiał: poczuł lekkie swędzenie na przegubach obu rąk. Był to znak, że zmagazynowana energia wyczerpuje się. Kiedy jej poziom spadnie do zera, skończy się jego życie. Uświadomił sobie, jak było krótkie. „Skąd to wrażenie?” – zastanawiał się. Przypominał sobie, jak je przeżywał. Czas wypełniała mu nie tylko praca. Choć osiągnął tak wysokie szczyty, zużył na karierę może parę procent swojej energii. Pozostałą resztę wydatkował na przyjemności. Bawił się i ucztował codziennie, czy raczej co noc do białego świtu. W eleganckich restauracjach stoły ugięły się pod wymyślnymi potrawami i napojami. Nie żałował sobie niczego, folgował we wszystkim.

Kiedy na środek parkietu wbiegały piękne rozebrane tancerki, wybierał te, które będą do niego należeć, i zamglonym wzrokiem oglądał w swej erotycznej wyobraźni podniecające układy, w których nie będzie się oszczędzał. Nad ranem był wyczerpany, ale jakże szczęśliwy. Nie znał umiaru. Powtarzał sobie z radością, że dziewczyny nazywały go swoim słodkim okrutnikiem, którego siły seksualne nigdy się nie wyczerpywały. Co noc dowodził im, że mają rację. Jednak nadmiar wszelkich przyjemności szybciej zużywał jego energię, której zapas był ściśle określony.

Patrzył teraz na swoje przeguby i wciąż je pocierał, czując swędzenie. Przypominał sobie przewodnika po spelunach i jego gest zacierania rąk. Sądził, że tak wyraża radosne oczekiwanie na zapłatę, za którą kupi sobie puszkę z płynną energią. Teraz inaczej postrzegał te ruchy. Czuł swędzenie i zbliżające się dno w zbiorniku energii. Teraz i on zapragnął ją uzupełnić napojem. „A może to naprawdę regeneruje?” – pomyślał z nadzieją.

Potań znowu ręce, gdyż poczuł, jak wskaźnik poziomu energii się obniża. Ogarnął go strach, chciał się jakoś ratować, szukać zastrzyku energii. Był pewien

sposób, ale przerażający. Dotychczas wierzył, że nigdy nie zostanie zmuszony do tego, by go użyć. Teraz jednak, w chwili zagrożenia, gotów był na wszystko. Chodziło tu o pewien sposób wymiany: życie za życie. Potrzeba zatem kogoś, komu życie można by zabrać. On nie miał nikogo takiego. Nie zabezpieczył się, chociaż słyszał, że inni okazali się bardziej przewidujący i okrutni. Czy znajdzie w sobie tyle sił, by odwiedzić Piekło i dokonać wymiany? Otrząsnął się z tych myśli. Postanowił oszczędzać energię, może mu starczyć jeszcze na długo, jeśli przestanie ją trwonić jak dotychczas.

Tak bardzo chciał żyć! Chociaż pragnął szaleć i zażywać wszelkich przyjemności, dostępnych dla ciała, nie wolno mu tracić energii na nic innego poza podtrzymywaniem życia, które mogło się w każdej chwili skończyć. Skupił się więc na czekającym go wywiadzie i nagle doznał olśnienia! „Tak, oczywiście, ależ to jest genialne pytanie” – pomyślał.

Wpadł na pewien pomysł; musi zapytać biologa o coś istotnego, co się wiąże z życiem tutaj, w ich cywilizacji. Czy biologia może mieć jakikolwiek związek z energią? Mówiąc dokładniej, czy może mieć na nią wpływ? Bo jeżeli ma i może powodować zmianę jej zasobów, oczywiście chodzi o ich odnawianie, to wtedy rzeczywiście cały wywiad nabrałby innego sensu. I gdyby odpowiedź była pozytywna – Hendrigo aż drżał z radosnego podniecenia – wówczas: witaj życie. Mógłby dostać tyle energii, ile by tylko zapragnął. I mógłby używać, szaleć, nie zachowując żadnego umiaru. Może inni również wpadli na ten pomysł i dlatego biolog znalazł się na ustach wszystkich, a nawet w serwisie konkurencji?

Pewna myśl cieniem przemknęła przez jego twarz. Postanowił wy badać biologa pod kątem interesów, jakie mógł prowadzić. A nuż był oplątany pajęczą siecią różnych zależności, finansów i wpływów? Nie żył przecież w izolacji, musiał czerpać z jakiegoś źródła fundusze na prowadzenie swoich badań. Wykonywał przecież jakieś eksperymenty, potrzebował do nich materiału... Kto za to płacił?

Wtem doznał drugiego olśnienia. Przypomniał sobie serwis wiadomości z dzisiejszego ranka. Konkurencja pisała o wyczerpywaniu się zasobów energetycznych. Otwartą dłonią Hendrigo uderzył się w czoło. Oczywiście wiedzą o

biologu, skoro wszyscy o nim mówią. Wysłali przecież swojego dziennikarza śledczego, by zebrał informacje. Wiedzą więc wszystko, być może więcej niż on. A dlaczego zaczęli o tym pisać tak ostrożnie? To jasne! Ależ z nich cwaniacy. Tacy potrafią kręcić maszynką do produkcji pieniędzy. Zamierzają napisać cały cykl artykułów o biologu i o jego eksperymentach. Będą w ten sposób podtrzymywać zainteresowanie czytelników i zwiększać nakład gazety. Napisanie w pierwszym artykule o grożącej zagładzie to sprytny zabieg marketingowy. Wzbudzili przerażenie, wszyscy więc z niepokojem będą oczekiwać następnego wydania. Cały nakład wyprzeda się w ciągu dziesięciu minut jak ciepłe bułki.

Hendrigo uśmiechnął się do siebie. Bo przecież on tu był w tej chwili, a nie dziennikarz z konkurencji. Trzeba więc solidnie wypytać o wszystko tego biologa, no i zabezpieczyć swoje prywatne interesy.

Tylko jak z nim gadać, skoro ani go nie widać, ani się nie odzywa? Może nie żyje? Jeżeli platforma została zawieszona na linach, mógłby za nie pociągnąć i spuścić ją na dół. Jednak ledwo zaczął badać ją wzrokiem, gdy usłyszał w korytarzu energiczne kroki zbliżające się do drzwi.

Osoba była już blisko. Dziennikarz wpatrywał się w drzwi w skupieniu, ogromnie ciekawy, jak wygląda biolog, nazywany bogiem, który narobił tyle zamieszania na mieście. Kroki umilkły i długą chwilę panowała cisza. Niepokój Hendrigo sięgał zenitu. Poczul, że się poci, czując na zmianę strach i nadzieję, bo jego życie albo się wkrótce skończy, albo otrzyma nieograniczone zasoby nowej energii. Już miał ochotę podbiec do drzwi, chwycić za klamkę, otworzyć szeroko i wciągnąć za kołnierz każdego, kto się ukrywał na korytarzu. Chwilę jeszcze się wahał, ściskając dłońmi blat biurka, a tamten stał za drzwiami i nie wchodził. Obawiając się, że zawróci w głąb korytarza, Hendrigo zerwał się i już stał przy drzwiach, sięgał ręką klamki, podekscytowany i dziki, by w ostatniej chwili przypomnieć sobie, że musi się opanowywać, by nie tracić energii, której emocje zużywały najwięcej. Pochylił się, skupił... Drzwi otworzyły się gwałtownie i dostał klamką w zęby – chwyciwszy się za usta, zrobił krok wstecz.

W drzwiach ukazała się kobieta. Była wysoka, okazała i wspaniale zbudowana. Mimo bólu ogarnął zachwyconym wzrokiem jej kształty. Uznał je za cudowne. Nigdy jeszcze nie widział tak idealnie zbudowanej istoty. Od kształtnej głowy, poprzez gładkie, okrągłe ramiona, aż po wysoko ustawione piersi, wąską talię, rozłożyste biodra, dorodne uda, smukłe łydki i wąskie stopy – wszystko zostało stworzone według cudownej złotej miary piękna, erotyki i miłości.

Cofnął się o dwa kroki, by podziwiać kształty pięknej kobiety. Choć nadal odczuwał uderzenie klamką, starał się nie pokazać słabości. Nigdy nie widział tak bujnego, a jednocześnie proporcjonalnego ciała. Oblekała je równie oszałamiająca skóra: lekko złotawa, bardzo jędrna, aksamitna i na pewno gładka w dotyku. Zapragnął pogłaskać tę skórę, przesunąć dłonią po wszystkich cudownych krągłościach, z gwałtowną ochotą chciał pokazać kobiecie swoje możliwości. Pożądanie objęło go niespodziewanie silnym płomieniem. Usiłował go zdusić, wiedząc, że spala jego energię, wysysa ostatnie jej krople. Chciał się ratować, przedłużać swoje życie, ograniczając pragnienia ciała, a jednocześnie mówił sobie z lekceważeniem: „a co mi po takim życiu”. Po sekundzie jednakże znowu pragnął żyć, i to intensywnie, i chciał mieć tę kobietę.

Chłonał widok jej kształtów, wciąż walcząc ze sobą. Otulała ją dziwną tkaniną, jakby futro zwierzęcia, biegnąc na skos od ramienia, odsłaniając górną połowę piersi, boki bioder i niemal całe nogi.

Kim jesteś? – już chciał zapytać. Ale powstrzymała go myśl, że być może przysłała ją konkurencja, by zniweczyć jego wywiad i zniszczyć karierę. Nie mógł się jednak oprzeć urokowi tej kobiety i nie wiedział, jak się bronić.

Rozglądała się po całym laboratorium, ale na nim nie zatrzymała wzroku. Jakby był niewidzialny. Bardzo go to zdziwiło. Patrzył prosto na nią, jej spojrzenie prześlizgiwało się po nim, ale nie błysnęło w nim rozpoznanie, zrozumienie, jakikolwiek znak, że go zauważyła.

Postanowił więc zrobić eksperyment. Podeszedł blisko i stanął naprzeciwko kobiety, wpatrując się intensywnie w jej oczy. Patrzyły na dziennikarza, ale go nie widziały. Przesunął ręką przed jej twarzą, pomachał kilkakrotnie, lecz nie

zareagowała. Podniósł ramiona i obracał nimi jak skrzydłami wiatraka – również bez skutku. Chodził wokół niej, przysuwał się coraz bliżej. Ona nie zwracała na niego uwagi; on nie mógł już powstrzymać podniecenia. Stał tak blisko, że dotykał torsem brodawek jej piersi, czuł płynący od nich żar, zdolny wypalić jego energię. Kobieta jednak nadal go nie zauważała. Potem zawołał do niej, wykrzykiwał różne słowa, rzucał przedmiotami, lecz nic nie osiągnął.

Kobieta najwyraźniej czegoś szukała. Na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju. Otworzyła usta i szybko wdychała powietrze. Na jej skórze perliły się krople potu. Było jej bardzo gorąco. Wachlowała się rękoma, lecz w żaden sposób nie mogła obniżyć temperatury swojego ciała.

Wreszcie w niewielkim basenie dostrzegła zieloną ciecz. Była to woda zaczerpnięta z oceanu, którą biolog zapewne zgromadził tu dla swoich eksperymentów. Ledwo ją zobaczyła, klasnęła w dłonie i roześmiała się. Usiadła na brzegu basenu i zanurzwszy ręce, zaczerpywała wodę, polewając nią szyję i piersi, co sprawiało jej wyraźną przyjemność. Potem włożyła nogi do basenu i wciąż siedząc na jego ocembrowaniu, chłodziła się w wodzie z oceanu.

Ten widok przeraził dziennikarza. Nigdy nie pozwalali, aby oceaniczna ciecz dosięgnęła choćby końca ich palców. Odczuwali silny wstręt. Wiedzieli, czym jest ta woda. Niedawno przekonał się na własne oczy, co potrafi. Strawiła zwłoki! A ta piękna kobieta wciąż się nią polewała, chłodząc swoje rozpalone ciało. Krople pozostawały na jej skórze, ale tylko przez chwilę, po czym znikwały, zamieniając się w parę. Hendrigo obserwował jej zabawę z niemijającym strachem. Obawiał się, że woda zaraz zacznie rozpuszczać jej ciało, które będzie się topić niby kawałek lodu zanurzony we wrzątku. Chciał ją ostrzec, ale przecież w ogóle go nie słyszała. Wpatrywał się więc przerażonym wzrokiem, oczekując chwili strasznej destrukcji. Jednak kobieta wciąż się polewała zieloną wodą z oceanu, przeciągając się z ulgą.

Nagle rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Okno samo się otworzyło, jednym skrzydłem uderzając o ścianę; posypały się kawałki szyby. Kobieta odwróciła się w tę stronę i spojrzała na widoczny za oknem zielony ocean. W jej oczach zalśniła radość, a ręka polewająca wodą ramiona poruszała się, jakby chwytając wiatr.

Podniosła głowę i wystawiła twarz na chłodne powiewy powietrza. Przynosiły jej ulgę, krople wysychały na gładkiej skórze. Wyraźnie zmniejszył się żar, który odczuwała i była zadowolona.

Hendrigo obserwował ją ze zdziwieniem; wszystko świadczyło bowiem o tym, że jej zmysły działały prawidłowo: widziała i słyszała. Ruchy dłoni chwytającej wiatr zza okna dowodziły, że miała również zmysł dotyku. Dlaczego go nie widziała, choć stał obok niej? Dlaczego nie słyszała jego głosu, choć mówił tak głośno? Czemu nie czuła jego bliskości, gdy ocierał się o nią?

Musiał porozumieć się z biologiem i wypytać go o wszystko; jednak platforma wciąż wisiała pod sufitem i panowała tam cisza.

Naraz ponad szklanym biurkiem pojawiły się obrazy, przypominające drgające świetliste sześciany, i stały jeden na drugim, całymi warstwami. To uruchomiły się wreszcie aplikacje, które włączył, chcąc przeczytać notatki biologa i znaleźć w nich jakieś wskazówki. Były to przerażające obrazy tortur zakończonych śmiercią. Pokazywały sposoby, w jaki zabijano bogów w różnych czasach i miejscach. Widać, że biolog studiował dogłębnie ten aspekt historii, sprawdzając, co jest mu pisane. A może dobrowolnie wybierał sobie rodzaj śmierci. Czyżby sposób był taki ważny?

Hendrigo zauważył również komentarze biologa pod każdą ze scen. „Czasy prymitywne i prostackie miały bogów-wojowników. Ginęli oni w walce wraz ze swoją drużyną. Charakter tak zwanego boga, jego mściwość, gwałtowność, okrucieństwo były w istocie cechami danej epoki, która się wyrażała w jego zachowaniu i myśleniu. Nadchodzące czasy potrzebują boga, który będzie uosobieniem odmiennych wartości”.

Nie zdążył przeczytać, jakie to powinny być wartości zdaniem biologa, gdyż na obrazy nałożyły się inne, zasłaniając je i spychając. Zobaczył sam środek targowiska, które przecież zajmowało cały ich świat. W niektórych miejscach był to rynek, w innych agora, w zależności od spełnianej funkcji.

Nagle poczuł silny ból dłoni. Sądził, że zaraz minie, bo jest złudny lub przypadkowy i nie oznacza wyroku, nie ostrzega przed tym, co ma się stać. Ból jednak nie ustępował. Skupił się na nim, usiłując go odegnąć. Nic z tego. Ogarnął go



strach przed tym, co zostanie oznajmione. Będzie to wyrok nieodwołalny i nawet on, wielki dziennikarz, nie posiadał mocy, by go zmienić. Zdecydowawszy się, wyciągnął ramiona przed siebie; chciał patrzeć na to, co się dzieje. Czynił to pełen przerażenia, którego nie mógł opanować. Rozprostował palce i wbił wzrok w swoje dłonie.

Za oknem zabłysła zielona błyskawica i uderzyła w wodę oceanu, roztopiając się w niej i niknąc. Dziki ogrom przyciągał wzrok. Ciemna, gęsta ciecz wciąż tworzyła fale. Ruch był sztuczny, nie wywoływały go wewnętrzne prądy życia. Nie mieli co do tego żadnych wątpliwości. Udowodniła to ich nauka. Teoria poświadczona eksperymentem nie mogła się przecież mylić. Ocean był martwy, a jednak szalał; jego skołtunione fale waliły o brzegi.

To oni wywoływali ten ruch. Po zakończeniu życia ich fizyczna materia wpadała do oceanu. Jakże był teraz niespokojny! Ileż więc ciał teraz pożerał, skoro reagował z taką gwałtownością. Oglądał obrazy na szklanym blacie biurka będącym monitorem.

Targowisko właśnie trwało. Rynek został przegrodzony w poprzek stołem. Za nim rozsiadł się bankier, a po przeciwnej stronie tłoczyła się kolejka ludzi wyciągających ku niemu ręce ponad głowami stojących przed nimi. Każdy chciał być pierwszy. Bankier podniósł obojętny wzrok na mężczyznę, który akurat zdołał się do niego dopchać.

Ledwo spojrzał, odsunął go ramieniem.

– Nie masz już nic! Właśnie skończyło się twoje życie. – Odwrócił się ku następnemu w kolejce.

– Dam ci moją żonę! – krzyknął odepchnięty.

Bankier skinął obojętnie głową, a mężczyzna pochylił się i przeszedł pod jego łokciem. Ciągnął za sobą piękną kobietę. Płakała głośno, żegnając się ze światem.

– Ona już nigdy nie będzie żyła – ostrzegł bankier.

– Ale ja tak! – zawołał z radością mężczyzna.

Bankier uczynił przelew energii, mężczyzna odbiegł z radością, a jego żona znikła. Nad oceanem zabłysła zielona błyskawica i wpadła w gęstą wodę.

Po kolei podchodzili inni: rodzice sprzedawali swoje dzieci, synowie handlowali życiem ojców. Zielone błyskawice wciąż były w wodę.

Bankier nie podniósł nawet oczu na dziennikarza, gdyż nie było wyjątków, a obok Hendriga nie stał nikt, kto chciałby poświęcić dla niego swoje życie. I wtedy przypomniał sobie o tym, którego na mieście nazywali bogiem. Zamknął obraz Piekła i skupił się z powrotem na laboratorium.

Wbił wzrok w brzeg platformy. Nikt tam jednak nie stał, trzymając się jedną ręką liny, jak samobójca na krawędzi dachu. Biolog wciąż był zajęty jakąś nagłą czynnością w głębi platformy. Nie zbliżył się na krok do jej brzegu, nie uczynił tej łaski.

Platforma nadal wisiała wysoko, gdy naraz spod sufitu popłynął głośny krzyk. Słysząc było również łomot, jakby twarde pięści waliły o klatkę piersiową. Czyżby tamten wyrażał radość tak samo, jak czynią to prymitywne zwierzęta? Może tak samo jak one wygląda?

Kudłata głowa wychyliła się poza krawędź i zaraz cofnęła.

– Uważaj, zjeżdżam!

Platforma opuszczała się powoli. W pewnej chwili stanęła i znowu rozległ się wrzask. Brzmiało w nim jednak zniecierpliwienie, coś działo się nie po myśli kudłacza. Odezwały się odgłosy, jakby coś montował. Wreszcie platforma znowu zaczęła się obniżać i po chwili zatrzymała się tuż nad podłogą. Była prostokątna, zawieszona na czterech linach. Dwóch z nich, stojąc na brzegu platformy, trzymał się biolog, nazywany na mieście bogiem.

Dziennikarz z trudem stłumił śmiech, który nim targnął mimo jego sytuacji.

Tuż obok, wciąż jednak nieco wyżej od Hendriga, stał karzeł. Jego długie ręce sięgały za kolana. Dłonie zacisnął w pięści i to nimi zapewne walił się przed chwilą po szerokiej klacie, wyrażając w ten sposób radość, kiedy dokonywał jakichś manipulacji, wisząc pod sufitem. Ciekawe, co robił? Dziennikarza wciąż pobudzała zawodowa ciekawość.

Głowę karła otaczała aureola gęstych, skołtunionych włosów, których z pewnością nie miał czasu pielęgnować, pochłonięty swoim dziełem.

– A cóż to? – zapytał dziennikarz.

Za plecami karła stał okazały cylinder ze szkła. Z pokrywy wystawały śruby, które właśnie dokręcał, gdy platforma zatrzymała się w trakcie zjeżdżania. W szklanym pojemniku siedział w kucki nagi mężczyzna. Dziennikarz poczuł coś dziwnego; czaiło się, gotowe do skoku.

– To moje dzieło! – odrzekł z dumą kudłaty.

– Na to dostałeś tak wielkie pieniądze?!

Karzeł wciąż przeżył się dumnie.

– Czy sądzisz, że wszyscy się mylą? – wrzasnął. – Mówią o mnie kreator, biolog.

– Jeśli ujawnię w prasie twoje oszustwo – odkrzyknął dziennikarz – nie dostaniesz więcej ani grosza!

– To jest nowa idea! Właśnie uzyskała wcielenie. – Karzeł wskazał cylinder.

– Niczym się od nas nie różni! Złapałeś go na rynku i zamknąłeś w cylindrze, uśpiwszy wcześniej. Usiłował się wydostać, gdy byłeś na platformie, dlatego dokręcałeś śruby, prawda? I próbujesz mi wmówić, że to jest nowa istota biologiczna, a ty jesteś jej stwórcą?

Dziennikarz był tak rozgniewany z powodu oszustwa i zniweczenia nadziei na kolejne wcielenie, że przyskoczył do biologa i pochwywszy go za szyję, ścisnął z całej siły. Gotów był go zabić, udusić własnymi rękoma, zamordować bez wyrzutów sumienia. Chciał nowego życia, kolejnego wcielenia, żywił nadzieję, bardzo nikłą jak pętelka na przegubie, ale ją miał.

– Ocean materii życiowej – wyszeptał biolog. – Dla was, dla ciebie. Nad tym pracowałem. Chciałem połączyć dwie energie w jednej istocie. Naszą i biologiczną.

Dziennikarz opuścił ręce i oprzytomniał.

– Czy wiesz, z czego powstał ocean? – zapytał z przekąsem, podkreślając w ten sposób głupotę rozmówcy. – To ścieki, wielka kałuża gnojówki – wyjaśnił takim tonem, jakby mówił „ty durniu”.

– A jeśli ożywię materię? – zapytał karzeł.

– Wtedy oczywiście będziesz bogiem! – rzekł z pogardą. – Ale to niewykonalne! Udowodniła to nasza nauka.

– Jestem bogiem! – wrzasnął karzeł. – Obalę naukę.

– Nie damy ci na to pieniędzy!

– A chciałbyś dostać jeszcze jedno życie? – zapytał karzeł.

„Czyżby ta kreatura czytała w myślach?” Z drugiej strony nietrudno było odgadnąć, czego potrzebował, wystarczyło spojrzeć na przeguby jego rąk. Wciąż się wahał, czy przyznać kudłaczowi boskie atrybuty. I jakie w ogóle powinny być te atrybuty?

Biolog zeskoczył z brzegu platformy. Uczynił to tak niezręcznie, że nieomal otarł się o elegancką kamizelkę dziennikarza. Patrzył na niego przenikliwym wzrokiem, podczas gdy ten strzepywał nieistniejący brud, którym karzeł mógł go poplamić.

– Masz rację, tego nie widać. – Twórca uczynił aluzję do niewidocznych pyłków biologii. – Ale one są. – Podszedł do okna. – Ocean składa się z cząstek małych i niewidzialnych. Każda jest życiem.

– Głupstwa! – Dziennikarz wciąż czyścił swą kamizelkę, szu, szu, szu, czyniąc szybkie ruchy dłonią.

Karzeł pochwycił go nagle za tę rękę i pociągnął ją ku sobie. Wysunęła się z mankietu koszuli, odsłaniając przegub. Czarna pętka, chociaż cieniutka, była wyraźnie widoczna. Unieruchomił rękę dziennikarza w swoich potężnych łapach. Trzymając ją mocno i odwracając wnętrzem dłoni ku górze, spojrzał mu w oczy.

– Żyje się tylko raz! – powiedział ironicznie.

Dziennikarz usiłował wyrwać rękę, ale uścisk był zbyt silny.

– Na pewno odwiedziłeś już Piekło! Skoro tu wróciłeś, nie masz nikogo na handel wymienny.

Puścił jego rękę, która opadła i już nie drgnęła.

– Nikt nie chce umrzeć za ciebie – dodał.

– Wiesz, jak kończą bogowie – mruknął złowieszczo dziennikarz. – Więc może ty?

– Chcesz mnie zabić? Próbowaleś!

Uczynił szybki ruch ręką.

Zabrzmiała słodka muzyka i wielkie drzwi w ścianie otworzyły się szeroko. Wesoly korowód chłopców i dziewcząt wtoczył się do sali. Rozłożyli obrusy na podłodze, obok nich rozścielili miękkie maty. Już zajęli miejsca i z koszy wydobyli półmiski z potrawami; odkorkowali karafki i butelki z kolorowymi nalepkami. Rozpoczęła się uczta. Pachniały potrawy, bulgotały nalewane alkohole, dźwięczały wesołe śmiechy. Dziennikarz patrzył z zachwytem na ponętne ciała dziewczyn spoczywające w objęciach mężczyzn. Potem przeniósł wzrok na obrusy zastawione półmiskami z wykwintnym jedzeniem. Wciągnął w nozdrza wonie unoszące się z nad smakowicie wyglądających potraw.

– Chodź! Pokażę ci moje dzieło. – Karzeł długim ramieniem odciągał go od półmisków.

Leżąca na macie pulchna brunetka obróciła się ku stojącemu mężczyźnie i zaśmiała krótko. Dziennikarz nie mógł oderwać wzroku od jej ponętnych kształtów. Stwórca wciąż go pociągał ku sobie, lecz bez trudu strząsnął jego rękę. Co było dziwne, lecz się nad tym nie zastanawiał.

Nieważny był karzeł, nazywany bogiem, nieważne było jego dzieło. Chciał doznawać przyjemności życia jak wszyscy w jego cywilizacji. Były warte każdej ceny.

Podszedł szybko do pulchnej kobiety i położył się obok niej. Biolog zagadnął mężczyznę siedzącego nad koszem pełnym jadła:

– Wstań, by obejrzeć moje dzieło.

– Oto piękny kawałek sera – odrzekł smakosz. – Nie jest ani zbyt miękki, ani za twardy.

Uniósł kawałek sera do ust i wciąż przyglądając się jego cienkiej skórce, pokrytej pleśnią, odgryzł kęs w zachwycie.

– Chodź ze mną obejrzeć dzieło geniusza – nalegał biolog.

– To jest dzieło geniusza – zachwycił się koneser, wpatrzony w ser. – O tym warto pisać poematy.

Stwórca podszedł z kolei do młodzieńca tulącego dziewczynę.

– Pokażę ci coś nadzwyczajnego!

Młodzieniec, zajęty całowaniem dziewczyny, tylko pomachał odmownie ręką.

– Nie ma nic wspanialszego od rozkoszy zmysłów – wtrącił się dojrzały mężczyzna, który obejmował ramieniem senną kobietę. – Piękno i kultura są ich wytworem. Nikt za tobą nie pójdzie.

Zwrócił się do dziennikarza, by go sprawdzić.

– Widziałeś na własne oczy, przedstawiłem ci dowód.

– Jaki? O co ci chodzi?

Zaspokojony dziennikarz, odpoczywając obok pulchnej kobiety, trzymał na brzuchu opróżniony do połowy kieliszek.

– Widziałem, że nikt się nie zainteresował twoim rzekomym odkryciem.

– Zużywają swoją energię na przyjemności wynikające z posiadania ciała.

– Twoje poświęcenie i wyrzeczenie się radości cielesnych, przyjęcie postaci obrzydliwego karła o nędznej powłoce, są tylko stratą czasu – rzekł. – Twoje działania okazały się niepotrzebne. Obsmaruję cię publicznie i zamkniesz laboratorium.

– Jeszcze nie wierzysz, że jestem biologiem?

– Cóż za brednia! Jakieś nowe słówko. Nic takiego nie istnieje.

Biolog uczynił delikatny ruch ręki, a towarzystwo uczujące na podłodze nagle jak zahipnotyzowane odstawiało kieliszki, zwijało maty i podnosząc się, zabierało półmiski i wazy, by zniknąć za drzwiami.

– To nie był żaden dowód – rzekł dziennikarz, wstając. – Tak wygląda nasza cywilizacja. Każdy pragnie wcielenia, by używać.

– Ta cywilizacja ginie.

– Czy naprawdę sądzisz, że to folgowanie przyjemnościom ciała ją zabija? – zapytał zaczepnie dziennikarz.

– Widzę, że naprawdę nie rozumiesz biologii – zaczął uczone. – Przyjemności będą jego silną obroną: dając radość, spowodują, że jego ciało zapagnie żyć i się powielać nieskończoną ilość razy.

– Dlaczego więc my giniemy?

Właśnie w tej chwili mężczyzna siedzący w kloszu zaczął walić pięściami w szybę, by się wyzwolić.

– Nie ma czasu! Śruby nie wytrzymają. Trzeba się spieszyć! – wołał biolog.

– Skąd ma tę siłę? Z czego został wytworzony?

Biolog wskazał na ocean.

– Z materii biologicznej.

– Chyba skończymy ten wywiad, abyś bardziej się nie kompromitował. Nie mogę przecież opublikować tych bredni. Rozpowszechnianie ich jest szkodliwe.

– Giniemy, bo obieg naszej energii jest skończony i ograniczony – uczony kontynuował swoją myśl – znikąd nie czerpiemy energii, tylko ją sobie przekazujemy.

– Musisz mi to udowodnić – powiedział dziennikarz. – Pokazać, że jest to możliwe.

– Nie rozumiesz, że daję naszej cywilizacji możliwość odnowy?

Ponad wodami zabłysła potężna błyskawica. Pojawiła się na niebie, rozświetliła je, znieruchomiła, lśnić chwilę, po czym zniknęła w głębi. Uczony podniósł ramiona, wołając:

– Kończy się nasza cywilizacja. Nawet Piekło się wyczerpało.

Mężczyzna w cylindrze zaczął odkręcać śruby od wewnątrz. Jeszcze chwila i się wydostanie.

– Nie możemy na to pozwolić! – wołał biolog. – To model eksperymentalny. Sama dzika biologia. Następny miał być ideałem: połączeniem biologii z energią naszej cywilizacji.

Dwie śruby były już na wpół odkręcone.

– Musimy go zniszczyć! – krzyczał biolog.

Dziennikarz uświadomił sobie, że to ostatni moment. Musi uratować ich cywilizację. Ten oszust gotów bowiem rzeczywiście wypuścić strumień biologii, wytworzyć wiele istot takich jak ta w cylindrze i wcielić ich, będących pięknymi bytami energetycznymi, w te potwory wyprodukowane z gnojówki. Rozkładająca się, cuchnąca materia zaleje ich świat. Ten biolog, czy jak mu tam, bóg, planuje zniszczyć

wszystkich. Musi więc go zabić, by do tego nie dopuścić. Teraz, gdy jego gniew minął, zrozumiał, jakie to trudne.

Ocean za oknem poruszał się gwałtownie, jakby coś przeczuwał.

– Jestem gotów umrzeć za swoje dzieło – powiedział nagle uczony.

– Chodźmy do Piekła. Dobijemy targu – zaproponował Hendrigo. – Dostanę twoją energię.

Biolog stanął przed nim i patrzył mu prosto w oczy.

– Uczynisz to, choć wiesz, że to moje ostatnie życie?

W istocie rzeczy badał siłę i trwałość zasad moralnych panujących w tej cywilizacji. Dziennikarz uosabiał je przecież i wyrażał.

Ten jednak odwrócił się ku oknu, nie patrząc na biologa, i wsunął ręce w kieszenie.

– Odrodzisz się, jeśli twoja teoria jest prawdziwa – rzekł obojętnie. – Przecież chciałeś za nią umrzeć.

– Ale nie za ciebie.

Dziennikarz wciąż gapił się w okno i wydawał się znudzony.

Ocean szalał, on jednak nie zwracał na to uwagi. Myślał jednak wyłącznie o tym, że na jego przegubie pojawi się purpurowa pętelka i otrzyma nowe wcielenie. Kolejne życie, które będzie wypełnione radością, bo tak ma być. Ukrywał swoje pragnienie; w istocie jednak prowokował biologa, zostawiając mu wolny czas i pustą psychiczną przestrzeń na podjęcie decyzji. Tak ujawniała się jego cecha wytrawnego gracza w pojedynkach z innymi. Walczył teraz o swoje życie, udając, że drogie są mu nadrzędne cele.

Biolog, nazywany bogiem, stanął przed oknem, twarzą do oceanu. Uniósł ramiona w górę i rozłożył je szeroko, jakby ściągał na siebie silne energie. Swoją płonącego wzrok skierował na ocean. Zakotłowały się jego wody, wystrzeliły w górę gejzery białej piany, uderzyły w siebie fale. Jakby odpowiadały na wezwanie swego stwórcy, nie rozumiejąc jeszcze dokładnie, co się dzieje, gdyż ocean był zwierzęciem wypełnionym emocjami, podświadomością, która nie mówi, ale czuje.



Nagle drugie skrzydło okna uderzyło z wielką siłą o ścianę. I pękło z trzaskiem, a szkło posypało się na podłogę. Ocean podniósł się tak wysoko jak nigdy dotąd. Sięgał aż do parapetu i jego wody mogły wpłynąć do wnętrza laboratorium, jednak nie uczyniły tego, lecz cofnęły się, tworząc gigantyczny wir fal i szalejącej energii.

A on stał naprzeciwko tych potęg z rozłożonymi ramionami, wiatr rozwiewał mu włosy. I wtedy z oceanu wystrzeliła gigantyczna błyskawica. Uderzyła w górę, rozbłysła potężnie, niebo pękło, a blask rozjaśniał je i drgał w odnogach błyskawicy jak w potężnym krwiobiegu światła. Otoczyło ono biologa aureolą jaskrawego blasku. Jego sylwetka znikła, roztopiając się w jasności. Energia zamieniła się w kulę i wystrzeliła z wielką siłą, pędząc przed siebie – by uderzyć w wodę.

Wówczas ocean rozjaśnił się aż do dna i był biały, i przejrzysty, drżący, wypełniony inteligencją i geniuszem biologa, nazywanego bogiem, który stał się nim właśnie naprawdę, poświęcając się za drugiego człowieka, choćby był marny, i za całość ludzkości, i za wszystko, co jest.

W tej chwili rozległ się głośny trzask: to pękał od światła szklany cylinder. Ale kucający w nim mężczyzna i tak odkręcił ostatnią śrubę. Potem jednym uderzeniem pięści rozwalil resztki szklanej osłony.

Dziennikarz wyszarpnął ręce z kieszeni i uniósł je do oczu. Z szaloną nadzieją wypatrywał purpurowego paska. Zaraz się wcieli w nowe życie. Wbijał wzrok we własne ręce, nie widząc niczego więcej.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

**Na każdą kieszeń  
na każdy czytnik**

A gdybyś pewnego dnia się obudził  
i wymacał z przodu piersi, które  
wrosły nocą, to co byś zrobił?

Emma Popik to mistrzyni krótkiej  
formy, która powraca w świetnej  
formie w zbiorze nigdzie wcześniej  
niepublikowanych tekstów.



Firma „Pillon i Synowie” prowadzi  
na rynku nieruchomości interesy na  
olbrzymią skalę, jednak nawet dla  
niej przejęcie całej planety ze  
wszystkimi jej bogactwami  
i inwentarzem to nie lada  
wyzwanie. Czy naprawdę tak trudno  
być Bogiem, jeśli się ma  
możliwości?

**Dobre ebooki  
w dobrej cenie**

**szukaj na  
[www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)  
lub w e-księgarniach**

**RW2010**

**REWOLUCJA WYDAWNICZA!**